Hermann Broch

Lunatycy

Esch, czyli Anarchia

Służyć za zwierciadło naturze,
pokazywać cnocie własne jej rysy,
złości żywy jej obraz, a światu
i duchowi wieku postać ich i piętno.
William Shakespeare

Premiera: 11 II 1995

Właścicielem praw autorskich do utworu *Die Schlafwandler* Hermanna Brocha jest wydawnictwo *Suhrkamp Verlag*, Frankfurt am Main, BRD.

Przedstawienie zrealizowano
dzięki finansowej pomocy –

BANK BPH
BANK PRZEMYSŁOWO-HANDLOWY SA

Najbliższa premiera:
Harold Pinter
Samoobsługa, Lekki ból

Dyrektor Naczelny i Artystyczny
Tadeusz Bradecki

Komentarze Hermanna Brocha

1. Powieść „Lunatycy"

Ta powieść wywodzi się z założenia, że literatura winna zajmować się ludzkimi problemami: z jednej strony tymi, które zostały porzucone przez naukę, ponieważ są całkowicie niedostępne dla racjonalnej myśli i wiodą już tylko pozorne życie w obumierającym filozoficznym felietoniźmie, z drugiej strony problemami, których nauka w swoim powolnym rozwoju i postępie jeszcze nie dosięgła. Stan posiadania literatury pomiędzy „już nie" a „jeszcze nie" nauki stał się bardziej ograniczony, ale za to pewniejszy, obejmując cały obszar irracjonalnego przeżycia, a zwłaszcza jego rejon graniczny, w którym motyw irracjonalny pojawia się w rzeczywistości jako czyn – wyrażalny i przedstawialny. Wynika stąd specyficzne zadanie: wykazać, jak senna substancja nieświadomości[1] określa (determinuje) działanie, a również jak zdarzenie jest wciąż gotowe stoczyć się w sen. Literatura zdaje się być upoważniona do podjęcia takiego zadania, bo język poetycki w odróżnieniu od naukowego nie ogranicza się do słów i ich faktycznego znaczenia, lecz raczej polega na tworzeniu napięcia między słowem a tym, co zawarte jest „między wierszami" – z tego napięcia rodzi się cały jej wyraz. „Lunatycy" ukazują, że konfrontacji z elementem śniącej nieświadomości wcale nie należy szukać tam, gdzie życie z dawien dawna jawi się jako irracjonalne, przeciwnie: wraz z destrukcją (demontażem) starych fikcji kultury również owo „śnienie na jawie" zdobywa coraz większą wolność i ujawnia się coraz jaskrawiej w najbardziej realnym zdarzeniu. „Lunatycy" ukazują to w trzech historycznych i kulturowo–społecznych etapach: 1888, 1903, 1918 – w periodach przejścia od przebrzmiewającej romantyki końca dziewiętnastego wieku do tak zwanej rzeczowości epoki powojennej. Należy przy tym podkreślić, że problem trzech protagonistów powieści, który mógłby z grubsza brzmieć: „jak nadać sens swemu życiu?" – wraz z przybierającą rzeczowością zanurza się coraz głębiej w ciemność. W romantycznej aurze – u bohatera pierwszego tomu, Joachima v. Pasenow – problem ten istnieje wprawdzie chwiejnie i mgliście, z pewnością jednak świadomie i dąży do rozwiązania w postaci dominujących fikcji: religii, erotyki i etyczno–estetycznego modelu życia. Bohaterowi drugiej części, Augustowi Eschowi, przypada pośrednia, anarchiczna pozycja pomiędzy dwoma granicznymi periodami. Esch – na zewnątrz już skomercjalizowany i bliski nadchodzącemu – rzeczowemu stylowi*

życia, jest wewnątrz uczepiony tradycyjnego systemu wartości. Pytanie o sens życia, pozbawione znamion świadomości, obija się w nim i nurtuje go głucho, a odpowiedź musi respektować stare schematy. Ponieważ formy religijne ostały się jako niemal szczątkowe, częściowo błahe i ogłupione, częściowo sproszkowane w sterylny mistycyzm lub praktyki Armi Zbawienia, akcent rozwiązania przesuwa się w rejon erotyczny i przyjmuje kształt mistycznej rezygnacji. W trzeciej części rzecz staje się znów jednoznaczna: bohater – Wilhelm Hugenau nie ma już z tradycją wartości nic wspólnego (na zewnątrz wyraża się to dezercją z frontu); jest człowiekiem w pełni areligijnym i aerotycznym. Niemniej, lub może właśnie dlatego, że zupełnie, ani świadomie, jak Pasenow, ani w przeczuciu, jak Esch, nie troszczy się o ten problem, jego droga wiedzie właśnie tam, gdzie mogłoby go oczekiwać rozwiązanie religijnego sensu życia, mianowicie ku platonicznemu odwróceniu się od rzeczywistości. Indywidualny los Pasenowa i Escha spełnia się we wspólnym rozwiązaniu trzeciego tomu: dla Pasenowa w ścisłym ograniczeniu do obowiązku, do sytuacji środowiskowej i rodzinnej, można by rzec, w połączeniu wszystkich tych trzech elementów; dla Escha, u którego kompromis wyrodził się z wiekiem w jeszcze bardziej nieadekwatną formę mistycyzmu, w spełnieniu swego pełnego przeczuć niejasnego lęku; dla obu w rodzaju pokuty za duchowe przewinienia. I staje się niemal konieczne, że człowiek nowej generacji – Hugenau – będzie wykonawcą wyroku na umierającym i przestarzałym duchu...

Jako symbol tej konstrukcji jawi się osoba Bertranda, którego w zasadzie można by uznać za właściwego bohatera całej powieści. Bertrand, prekursor nadchodzącego czasu, zerwał z tradycyjnym schematem losu (jeśli nie przez dezercję to przez wystąpienie ze służby wojskowej) już w 1888 roku. Z zewnątrz jego życie staje się modelem egzystencji nowoczesnego człowieka, wielkiego formatu finansisty (biznesmena). On jednak wie, do czego to zmierza i pragnie radykalnych rozwiązań. A przecież, zdeterminowany normami (duchem) swego czasu, również i on nie może przekroczyć fikcji tradycyjnego systemu wartości i mimo sprzeciwu wpada w pułapkę materializmu. Radykalizacja fikcji erotycznej, aż do wyboru (akceptacji) homoseksualizmu, od którego inni uciekają, lub który zwalczają, musiała zakończyć się klęską, świadomą lecz przecież zawstydzającą, tak samo jak musiała ponieść klęskę realizacja pędu do nieskończoności przez podróże. To, co pozostaje, to niemniej zdeterminowana duchem czasu rezygnacja estety i odwaga – w konsekwencji – do samobójstwa. Symbolizuje on zatem swym losem na wyższym poziomie zdarzenia całej powieści

– tzw. fiasko starych postaw, z drugiej zaś strony – narost ciemnego nieświadomego elementu, który w kolejnych częściach trylogii przybiera na sile i wyrazistości. W pierwszym tomie sam jest działającą personą, w drugim dominuje i determinuje zdarzenia, sam pojawiając się jedynie nierealnie i sennie, znikając wraz z samobójstwem, w trzecim nie istniejąc de facto, pozostaje jako stygmat w postawie i postępowaniu osób, z którymi się zetknął. Powieść stara się zachować choreograficzną symetrię zarówno w postaciach epizodycznych jak w konstrukcji wydarzeń i ich kontekstów. A także w stylistyce, która przecież jest również wyrazem trzech przedstawionych epok. Wynika z tego konieczność traktowania każdej części jako oddzielnej (autonomicznej) całości. Rozumie się samo przez się, że naturalistyczna, lub psychologiczno–naturalistyczna narracja nie może wyrazić tej architektoniki niewyrażalnego...*

•

Ten „metodologiczny prospekt", jak nazwał go Broch w swoich listach, był przeznaczony dla wydawcy. Pod koniec 1929 roku wysłał go jako informację towarzyszącą wraz z pierwszą wersją (redakcją) trylogii do S. Fischer Verlag, potem do Kiepenheuer Verlag w Berlinie i wreszcie do Rhein–Verlag w Monachium.

[1] *W oryginale niemieckim: das Traumhafte. W dalszym ciągu tekstu będą w stałym użyciu terminy: das Traumhafte, das traumhafte Element, traumhaft..., których bardzo tutaj istotnego znaczenia nie można oddać precyzyjnie po polsku. Chodzi tu o charakterystyczny dla myśli Brocha – indywidualny lub zbiorowy – nieświadomy, podobny do snu, duchowy proces determinujący ludzkie zachowania i czyny, przy czym, zależnie od kontekstu, chodzi raz o energię, to znowu o formę (ew. treść) jego psychicznej kondycji. Dalsze występowanie tych terminów w oryginale będę zaznaczał (*) K.L.)*

2. Krąg problemowy, zawartość (treść), metoda „Lunatyków".

Krąg problemowy: *Wywodzi się z przekonania, że autonomiczny i nienaruszalny azyl literackiej (poetyckiej) twórczości leży w najgłębszej – irracjonalnej warstwie, w tym prawdziwie panicznym rejonie przeżycia, w ciemnym sennym stawaniu się i zdarzaniu, w którym człowiek sterowany praafektami, dziecięcymi postawami, wspomnieniami, pragnieniami erotycznymi – zwierzęco i bezczasowo dąży gdzieś... Bo w tych rejonach zawodzi racjonalny, naukowy wyraz, słowo nie obowiązuje już w swym właściwym (i własnym) znaczeniu, a jedynie w zmiennym i symbolicznym charakterze, przy czym obiekt zostaje ujęty w napięciu między słowami, a tym, „co mieści się między wierszami". W sposób konieczny, choć lunatycznie, pojawia się i działa w tej strefie snu* tęsknota do przebudzenia – (roz)poznawalnego i (roz)poznającego przebudzenia zwanego (zawsze subiektywnie): „Zbawieniem", „Ratunkiem", „Sensem życia", „Łaską"... Czasy silnego religijnego przeniknięcia wszelkich duchowych treści radziły sobie z polaryzacją dionizyjsko–apollińską przez rozprowadzenie i rozładowanie śniącej substancji* w określonym systemie wartości. We wstecznej drodze od tych wartości konstytuowało się pojęcie grzechu: grzechu nie przebudzonego, nie mogącego się przebić ku wspomnianym wartościom popędu, i grzechu racjonalnego, diabolicznego, odrzucającego wartości w pragnieniu stworzenia nowych. Z grubsza biorąc jest to krąg problemowy etycznych konfliktów, którymi zawsze zajmowała się akceptująca aktualny system sztuka. Stąd wyłania się dziś w sposób konieczny i pilny nowy problem: dokąd prowadzi tęsknota do przebudzenia i ratunku w czasie rozkładu i rozpuszczenia wszelkich systemów wartości, nie mogąc już spełnić się w nich, do nich wpadać lub wpływać... Czy może ze snu i śnienia najstraszliwszego z dni zrodzić się nowy etos?*

Zawartość: *Problem zostaje przemierzony trzykrotnie w trzech tomach powieści: „Pasenow, albo Romantyka". „Esch, albo Anarchia", „Hugenau, albo Rzeczowość" – rozgrywających się w latach: 1888, 1903, 1918 – a więc w periodach granicznych kryzysu i przemiany europejskiego systemu wartości. Przede wszystkim ukazano tu, że konfrontacja życia z elementem śniącej nieświadomości* jest tym bardziej widoczna im bezsilniejsze stają się stare tradycje wartości. Rozmarzona romantyka daje*

nieświadomości mniej miejsca niż czas rzeczowego chaosu wartości, w którym nieświadomy element* – niezwiązany i nieskanalizowany, skazany na siebie – sam staje się, żeby tak rzec, „rzeczowy"... Dalej, że ludziom na nic się zdaje respektowanie obumierających systemów (form) wartości: gdy Pasenow szuka rozwiązania w tradycyjnej religijności, a Esch ratuje się poprzez erotyczny mistycyzm, to są to rozwiązania połowiczne, nie przynoszące wyzwolenia od sennego rojenia*, lecz raczej wciągające problem etyczny w sferę ciemnych popędów – w pratyp tragicznej winy, lub też, jeśli ktoś woli: tragicznego grzechu. Zjawia się mściciel tej winy (tego grzechu), wyrosły i ukształtowany w sprzyjających okolicznościach kryzysu 1918 r – człowiek wolny od wartości, rzeczowy, typ niemal przestępczy, realizujący w rzeczywistości, do końca i naiwnie, dziecięcy sen: Hugenau, bohater trzeciego tomu – dla którego w epilogu zaświta możliwość powracającego etosu w postaci platońskiej perspektywy wolności. Obok tych trzech protagonistów stoi postać Bertranda, głównej (choć pasywnej) persony całej powieści, typ człowieka racjonalnego, pod wieloma względami prekursor Rzeczowości, nie wyzwolony jednak z wartości – raczej negujący je, stanowiąc przeciwny biegun winy (grzechu) Nieprzebudzonego i ginący wraz z grzechem racjonalizmu.*

Metoda: *Podążając tropem Najistotniejszego narracja jest określona (zdeterminowana) postępującym wyzwalaniem się elementu śniącej nieświadomości* i rozpadem starego systemu wartości. Wyjaśnijmy to upraszczającym przykładem:*

Część pierwsza jest zamknięta w bardzo dziś uproszczonej formie romantycznej. To dość niewinne opowiadanie z niezachwianym tempem wydarzeń, z niezaburzoną naturalistyczną kolorystyką.

Część druga: Styl i rytm eksplodują, to znów wzbierają w refleksji – wyróżniając tym część środkową od skrajnych. Kształty – czasem przesadnie kanciaste i ostre, zostają miejscami zeszlifowane do (granic) nieokreśloności, czasem zanikają (mroczniejąc) jak kształt Bertranda we śnie na pograniczu realności. Zewnętrzna forma naturalistycznego opowiadania zostaje co prawda zachowana, lecz jej wewnętrzny ruch (wewnętrzne rozwibrowanie) ujawnia anarchię.

Część trzecia: Chaos uspokaja się, pozornie nawiązując do części pierwszej, ale w nowej „rzeczowej", w pewnym sensie reportażowej formie. Upraszczają się asocjacje... Jednak pełny upadek starego systemu wartości (starych norm wartości) pozwala tu na rozbicie czystej opowieści. Wciąż postępujące rozluźnienie światopoglądowych ustaleń odkrywającego się irracjonalizmu

może teraz wtargnąć (wniknąć) w styl i pozwolić mu na użycie wszelkich środków pomimo trzeźwości rzeczowej relacji.
Ta wzajemna zależność i dopasowanie się stylistyki i zawartości nie ogranicza się do różnic kolejnych części, lecz próbuje wniknąć w każdą poszczególną sytuację, przy czym dąży się do zachowania jedności (jednorodności) całości poprzez jednorodną metodę psychologiczną, przez konsekwentne prowadzenie kontekstów i asocjacji, narastającego szeregu symboli, przez obsesyjne rozważania całościowej budowy, regularne nawroty głównych struktur i podstawowych motywów, wreszcie poprzez szczególną gęstość tempa i rytmu, bo tylko dzięki takiej jednoczącej, zamkniętej formie refleksji, działania i stylu zostanie osiągnięty sens artystycznego kształtowania mogący zaowocować nową formą powieści. Oczywiście nie mogę przesądzać, w jakiej mierze się to powiodło, jest to zresztą szczegół o marginalnym znaczeniu wobec głównego zadania opowiadającej książki: jej niepokojącego żywotnego działania, które pozwala wyłamywać się ze wciąż nowych pokładów – nieujmowalnemu.

•

Ten komentarz jest fragmentem listu Brocha do Georga Heinricha Meyera (Rhein–Verlag) z dnia 10 kwietnia 1930.

Rysunki zamieszczone w programie oraz tłumaczenia tekstów Hermanna Brocha są autorstwa Krystiana Lupy.

Lorelei

Kiedy pani Hentjen wstała, ledwie świtało. Otworzyła okno, by zobaczyć, jaka pogoda. Niebo rozciągało się jasne i bezchmurne nad ciemnoszarym podwórkiem, leżącym w milczącym bezruchu: ciasny prostokąt otoczony mrocznymi murami. Stały tam oparte o ścianę dzieże po wczorajszym praniu, ciche i jasne. Chłodny wiatr zaplątał się między murami, czuło się odór miasta... Poczłapała do komórki służącej; nie chciała przecie wyjść bez śniadania, tego jeszcze by brakowało. Zabrała się metodycznie za swą toaletę, włożyła jedwabną brązową suknię. Kiedy przyszedł po nią Esch, siedziała ponuro w lokalu przy kawie. Burknęła: „Idziemy" i dopiero w sieni przypomniała sobie, że może Esch też chciałby kawy; dostał ją w kuchni i wypił na stojąco. Na ulicach było już słońce, lecz świetlisty blask leżący między długimi murami nie zdołał rozproszyć złego nastroju obojga. Esch rzucał jedynie lakoniczne i szorstkie wskazówki: „Kupię bilety", „Peron piąty". Milcząco siedzieli obok siebie w przedziale. W Bonn Esch wyjrzał przez okno i spytał o świeże pieczywo. Kupił jej bułkę, zjadła ją, ponuro rzucając dokoła spojrzenia pełne wyrzutu. Za Koblencją, kiedy ludzie, jak było tu we zwyczaju, powstawali do okien, by delektować się nadreńskim pejzażem, pani Hentjen podniecona pospieszyła uczynić to samo. Esch przeciwnie – nie ruszył się z miejsca; znał tę okolicę aż do przesytu, a poza tym miał zamiar dopiero ze statku pokazać pani Hentjen naturę. Teraz irytowało go, że uprzedzała przyjemność, a ponadto przyjmowała pouczające uwagi od innych współtowarzyszy podróży. I tak każdy tunel ucinający krajobraz sprzyjał jego zniechęceniu, wreszcie rozdrażnienie urosło tak bardzo, że w Ober–Wesel odwołał ją dość obcesowo od okna: „W Ober–Wesel miałem kiedyś posadę..." – powiedział. Pani Hentjen uniosła wzrok; dworzec nie miał w sobie nic szczególnego. Powiedziała grzecznie: „Tak to się człowiek pałęta." Ale Esch wcale jeszcze nie skończył: „Posada kiepska, ale wytrzymałem przez parę miesięcy... z powodu dziewczyny z okolicy... miała na imię Hulda." „To możesz od razu wysiąść i ją odwiedzić" brzmiała rozdrażniona odpowiedź Hentjen, nią się w najmniejszym stopniu nie musi krępować. Ale już byli w Bacharach i Esch po raz pierwszy w życiu odczuwał bezradność podróżującego dla przyjemności turysty, co stoi na stacji i ma całą godzinę czasu. Zgodnie z programem mieli zjeść śniadanie dopiero na statku i jedynie z zażenowania

zaproponował skręcić do znajomej restauracyjki. Lecz kiedy weszli w wąskie uliczki miasta, które cicho i swojsko leżały w przedpołudniowym słońcu, to przed jednym z rzemieślniczych domów pani Hentjen nagle orzekła: „Tu chciałabym mieszkać, to byłby ideał". Może to kwiatki na oknach zrobiły na niej takie wrażenie, a może tylko lżejszy oddech, który uwalnia się nieraz w człowieku w obliczu nieznanego, a może zły nastrój po prostu wyczerpał się; dość, że świat stał się naraz jaśniejszy, zgodnie oglądali teraz wszystko po kolei, poszli nawet do ruiny kościoła, z którą nie wiedzieli co począć, pośpieszyli w stronę przystani, by nie spóźnić się na statek, przyszli przed czasem i nie pozostało im nic innego, jak poczekać jeszcze kolejne pół godziny.

Płynąc statkiem wielokrotnie wdawali się w sprzeczki. Na dłuższą metę duma Hentjen nie pozwalała, żeby Esch sam jeden uchodził za znawcę okolicy. Szperała w pamięci, szukała znajomych nazw, wszczynała ze swojej strony z wyciągniętym przed siebie ramieniem przypuszczenia i objaśnienia i była urażona nie mogąc zarzucić mu żadnej pomyłki. Ale nie zwarzyło to przecie dobrego nastroju i kiedy przybyli do St. Goar, byli oboje niepocieszeni musząc opuścić pokład, ba, w pierwszym momencie zdawali się nie mieć pojęcia, po co tu schodzą na ląd. Handlowy cel podróży stał im się w jakiś sposób obojętny i kiedy dowiedzieli się w lokalu aukcyjnym, że wyprzedaż pożądanych – tańszych gatunków już się odbyła, nie zaniepokoili się ani rozczarowali. Było to raczej jakieś uwolnienie od obowiązku, bo o wiele było teraz dla nich ważniejsze wsiąść na prom, który na napiętej linie przewoził ku uwodzicielsko błyszczącym w słońcu budowlom Goar. I kiedy Esch naśladując zatroskaną zapobiegliwość porządnego kupca, który notuje na aukcji osiągnięte ceny, rzekł „do następnego razu", to przecież ta komercjalna postawa była trochę na wyrost i hochsztaplerska, i wynikło z tego dość dziwne uczucie nieczystego sumienia, co z jednej strony skłaniało go do umyślnego pomijania nazbyt korzystnych cen, z drugiej przygnębiło go do tego stopnia, że robił z pamięci listę tych pominiętych, rzucając złe spojrzenia na Hentjen. Hentjen siedziała na rozpalonej słońcem ławie promu i z zadowoleniem zanurzała palec w wodzie, ostrożnie by sobie nie zamoczyć kremowokoronkowej półrękawiczki, i mogła by tak przeciąć Ren wielokrotnie, bo dziwne, przyprawiające o lekki zawrót głowy uczucie na widok skośnie biegnących ku łodzi fal – było takie przyjemne.

Ale czas był już mocno zaawansowany, a pod drzewami w restauracyjnym ogródku było również przyjemnie. Zjedli rybę, napili się wina i przy cygarze rozmyślał Esch o konieczności

Esch na [illegible]
ne Lehelu

Sumatrzy
Hentzen -

kowelka
parasol

kapelusik
mały - z [illegible]
piórkiem

brązowo-jedwabne
[illegible]
świąteczna

ciężki
jedwab
[illegible] ciemna
[illegible]
rozpuszczone - grudy

podniesienia nastroju, poważnie zastanawiając się, czy i pani Hentjen, która siedziała szeroko, ciężko i okazale, nie czeka na coś podobnego. Oczywiście nie była jak inne kobiety, zaczął więc po prostu choć i ostrożnie mówić o Lohnbergu, któremu właściwie zawdzięczał inspirację tej pięknej wycieczki, chwalił za to Lohnberga, by po tym wstępie przejść w stosownej formie do wykładu wegetariańskich idei prawdziwej miłości, lecz pani Hentjen spostrzegła z napięciem, do czego on zmierza, przerwała rozmowę i choć była zmęczona i wolałaby oddać się drzemce, przypomniała, że według programu czas teraz na Lorelei. Esch oburzył się, podjął wysiłek, by mówić jak Lohnberg i nie znalazł uznania. Widać ciągle jeszcze był niedostatecznie wytworny.

Podniósł się i zapłacił. Kiedy przemierzali restauracyjny ogródek zauważył letników: młode, ładne kobiety, dziewczyny; nagle Esch nie mógł pojąć, co tu robi z tą podstarzałą kobietą, choć w swej brązowej jedwabnej sukni prezentowała się okazale. Dziewczyny miały na sobie lekkie, jasne, letnie sukienki, a brązowa już w połowie podróży stała się nieświeża i zakurzona. Niemniej było to w jakiś sposób sprawiedliwe, człowiek ma przecież sumienie, człowiek pamięta i myśli o Martinie, który tam w więzieniu tęskni za słońcem, którego za ofiarę spotkała czarna niewdzięczność; w takim zestawieniu i tak powodzi się człowiekowi o wiele za dobrze. I kiedy tak teraz brnął z panią Hentjen przez kurz polnej drogi, zamiast leżeć sobie w trawie z piękną dziewczyną, to było to sprawiedliwe, że i za jego ofiarę nikt, a najmniej już ta kobieta, nie poczuje się do wdzięczności. Kto się ofiarowuje, jest przyzwoity. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie mógłby swojej ofiary rzucić pani Hentjen po prostu przed oczy, ale potem przypomniał sobie o Lohnbergu i zrezygnował; wytworny człowiek cierpi milcząco. Kiedyś, kiedy już prawdopodobnie będzie za późno, może sobie to uzmysłowi. Opadło go bolesne wzruszenie; idąc przodem zdjął marynarkę a potem i kamizelkę. Mutter Hentjen patrzyła ze wstrętem na dwie wielkie wilgotne plamy, którymi koszula przylgnęła do pleców i kiedy Esch przystanął skręciwszy w las, poczuła zbliżając się z przerażeniem gorącą woń jego ciała. Esch odezwał się dobrotliwie: „No, Mutter Hentjen..." – „Niech pan włoży marynarkę" odparła szorstko choć jakoś tam macierzyńsko, a potem dodała: „Tu jest chłodno, przyjemnie chłodno, ale pan się przeziębi." „Jak się idzie, to jest gorąco" – odparł – „niech pani lepiej rozepnie parę haftek przy szyi." Potrząsnęła głową przybraną w staromodnie zdobny kapelusz: „Nie, nie chcę, jakby to wyglądało!" „Przecież nikt nas tutaj nie widzi" – powiedział Esch i ta nagle potwierdzona samotność, samotna wspólnota, w której nie ma potrzeby wzajemnie się wstydzić, bo nikt tego nie widzi, wprawiła ją w zamęt i konsternację. Nagle pojęła, że on, żeby tak rzec, z ufnością obnażył przed nią swój pot; czuła wciąż jeszcze wstręt, lecz już nie na powierzchni lecz tępy i przytłumiony; gdzieś jakby pod skórą brzydziło ją i nawet nie lękała się jego końskiej paszczęki, przyjęła je jako część uwolnionego i osobliwie dozwolonego bezwstydu, który teraz znowu ze śmiechem obnażył: „No dalej – raźno, Mutter Hentjen, nie będzie tu żadnych ulg." Poczuła się obrażona, widać nie wierzył, że jest w stanie dotrzymać mu kroku, i zdyszana podpierając się cienką, różową letnią parasolką ruszyła w dalszą drogę. Esch trzymał się teraz blisko niej i przy bardziej stromych podejściach próbował jej pomóc. Zerkała na niego nieufnie, pełna podejrzeń, czy nie oznacza to przypadkiem próby nieprzyzwoitego zbliżenia, z ociąganiem przyjmowała jego ramię, natychmiast puszczając je lub odtrącając, gdy tylko mijał ich jakiś wędrowiec lub nawet dziecko.

Wspinali się wolno i kiedy przystawali łapiąc oddech, zaczęli stopniowo zauważać, co roztaczało się wokół nich: skruszałą w słońcu białawą glinę leśnej drogi, rośliny sterczące z suchej ziemi bladą, anemiczną zielenią, korzenie przecinające wąską ścieżkę zakurzonymi włóknami, zwiędły suchy zapach ledwie dyszącego w upale lasu, krzewy ukazujące wśród listków niedojrzałe jagody, gotowe już zeschnąć jesiennie. Zauważali to wszystko nie mogąc jednak ani określić ni nazwać, a gdy osiągnęli pierwszą widokową ławkę i ujrzeli leżącą u stóp dolinę, to choć do skały Lorelei był jeszcze spory kawał wspinaczki, zdało im się, że są już u celu – usiedli zatem, aby nasycić się krajobrazem, pani Hentjen wygładziła troskliwie z tyłu swą brązową jedwabną suknię, aby pod ciężarem ciała nie porobiły się fałdy. Było tak cicho, że słyszeli głosy z placu przeładunkowego, a z okolic oberży w Goar dochodziły przytłumione stuki promu uderzającego o brzeg. Dla obojga niezwykłość tego wrażenia była dość niesamowita. Pani Hentjen przyglądała się sercom i inicjałom wyrytym na siedzeniu i na oparciu ławki i z zaciśniętymi wargami zapytała Escha, czy uwiecznił się tu razem z Huldą z Ober–Wesel. Kiedy dla żartu udał, że szuka, kazała mu zaraz zaprzestać: czy to widoczne, czy nie – gdzie tylko stanie mężczyzna, zawsze znajdzie ślady swojej zbrukanej (brudnej, skalanej) przeszłości. Esch, który upierał się dalej przy żartach, podzielił się przypuszczeniem, że może na tych sercach znajdzie się gdzieś i jej imię, czym ją na serio rozsierdził: na co on sobie jeszcze pozwoli? Jej przeszłość jest dzięki Bogu czysta i wytrzyma porównanie z każdą młodą dziewczyną. Dla kogoś, kto nieustannie

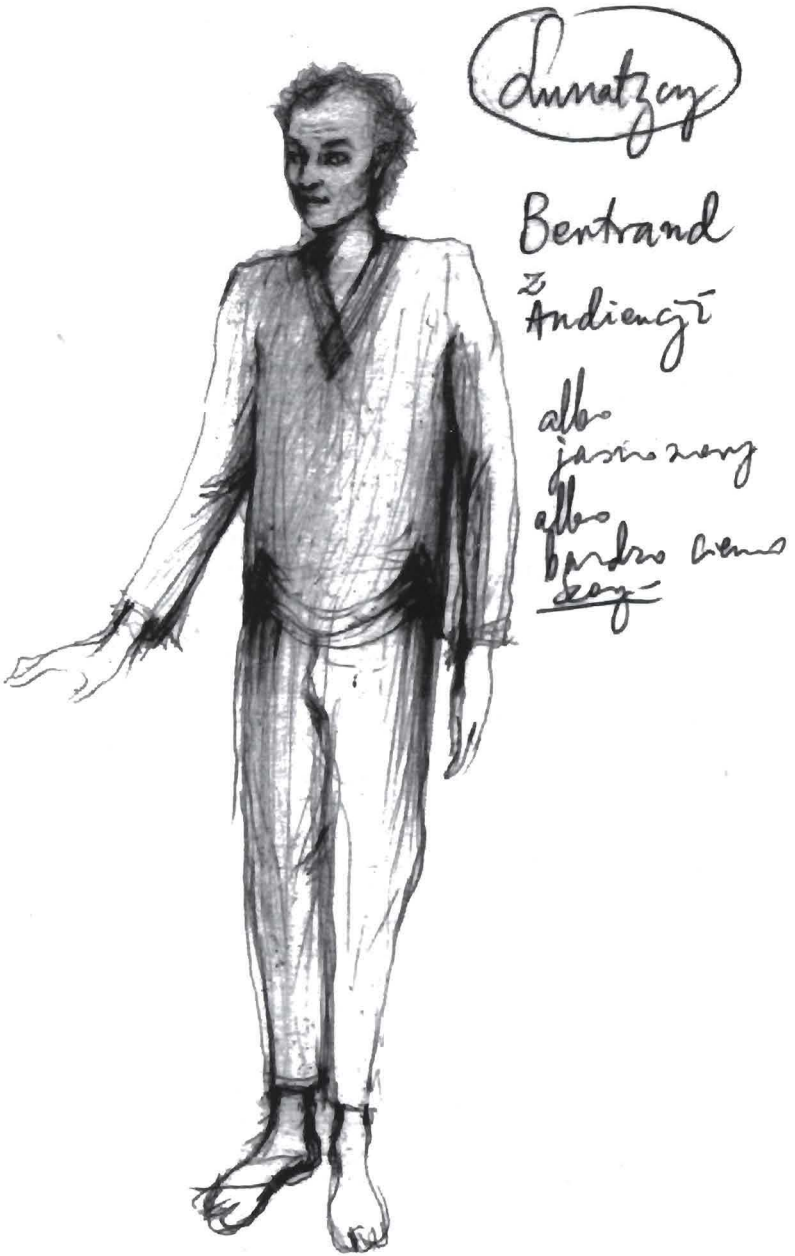

zadaje i włóczy się z kobietami to oczywiście jest nie do pojęcia... Esch, którego wyrzut trafił w głąb serca, poczuł się podły i małoduszny, że ocenił ją niżej niż dziewczęta w oberży, z których niejedna nie była godna umyć jej stóp. Odczuwał prawdziwą ulgę i błogość na myśl, że obok był ktoś, kto jawił się w sposób tak określony i pewny, kto wiedział, gdzie prawo, gdzie lewo i gdzie dobrze, gdzie źle, gdzie można to znaleźć. Przez chwilę miał wrażenie, że właśnie tu jest ów upragniony punkt, który jasno i nieodwołalnie odcina się od ogólnego nieładu, punkt, na który trzeba się wspiąć; jednak przeszkodziła mu myśl o panu Hentjen i jego portrecie w lokalu. Nie opuszczało go przeświadczenie, że gdzieś tu musi być serce, które otacza imiona: jego i pani Hentjen. Nie odważył się tego wyrazić, ale zapytał po prostu, gdzie ma rodzinny dom. Odpowiedziała krótko, że pochodzi z Westfalii; a poza tym nikogo to nie powinno obchodzić. I ponieważ nie mogła dosięgnąć fryzury, kilkoma szybkimi muśnięciami palców poprawiła kapelusz. I w ogóle nie znosi, gdy kto za głęboko wsadza nos w cudze życie. Tak właśnie postępują tacy jak Esch, którzy nie mogą sobie wyobrazić, że nie każdy lata po świecie z zagównioną przeszłością. Jeśli tacy goście nie potrafią zdobyć kobiety, to próbują przynajmniej wleźć do jej życia i jej przeszłości. Oburzona – odsunęła się kawałeczek... i Esch, którego myśli wciąż jeszcze krążyły wokół pana Hentjen, upewnił się teraz, że musiała bardzo być nieszczęśliwa. Jego twarz przybrała teraz wyraz rozgoryczony i cierpki. Być może kijem zagnano ją w to małżeństwo. Powiedział zatem, że nic złego nie miał na myśli. I przyzwyczajony płaczące lub nieszczęśliwe kobiety pocieszać cielesnym dotknięciem, wziął jej dłoń i pogłaskał. Może to była owa nadzwyczajna cisza natury, może jej wyczerpanie, dość że nie broniła się. Wypowiedziała swe zdanie, ale już ostatnie słowa uleciały jej z ust jak oberwane piórka, tak że sama je ledwie poznała, a teraz wszystko było puste i nie była już zdolna odczuwać wstrętu ani niechęci. Patrzyła na leżącą przed sobą dolinę i nie wiedziała wcale, gdzie jest. Tyle tych lat, cały szereg lat mechanicznie przeżytych między bufetem a murami kilku znanych uliczek skurczył się w mały punkt i oto było jej teraz, jakby zawsze siedziała na tym nieznanym miejscu. Świat tak bardzo obcy, daleki, że niemożliwym było go pojąć i nic ją z nim nie wiązało, nic prócz cienkiej gałązki z kolczastymi listkami, którą gładziła niezmiennym i ustawicznym gestem palcami lewej swej ręki. Esch pytał się w duchu, czy powinien ją pocałować, ale nie miał na to ochoty, uważał zresztą, że nie byłoby to wytworne.

I tak siedzieli w milczeniu. Słońce skłaniało się ku zachodowi i promieniami oblewało im twarz, ale pani Hentjen nie odczuwała

upału ani palenia napiętej, zaczerwienionej i zakurzonej skóry. I zdawało się prawie, jakby w półjawie TO – senne podpełzało do Escha i chciało go objąć, bo oto widział przed sobą w dolinie coraz szersze i dłuższe cienie – jak dziwną jakąś pokusę, bał się jednak zmienić pozycję i z ociąganiem sięgnął wreszcie po kamizelkę, gdzie spoczywał jego srebrny zegarek. Był najwyższy czas do pociągu i TO – bezwolne usłuchało wezwania. Schodząc w dół Hentjen wspierała się ciężko na jego ramieniu, a on niósł pod pachą różową jej parasolkę, dyndały na niej – marynarka i kamizelka. Aby jej ułatwić schodzenie, poluzował jej dwie haftki na wysoko zapiętej talii, pozwoliła mu na to, nie odtrącała go również gdy szli z naprzeciwka i mijali ich wędrownicy, nie widziała ich. Kraj jej brązowej jedwabnej sukni wlókł się w kurzu polnej drogi i kiedy już na stacji Esch posadził ją na ławce i opuścił na chwilę, by ugasić pragnienie, siedziała bezradnie i bezwolnie, czekając aż wróci. Przyniósł jej kufel piwa, piła, wlewała w gorące wnętrze. W ciemnym przedziale osobowego pociągu oparł jej głowę na swym ramieniu. Nie wiedział, czy śpi, ona sama chyba też nie wiedziała. Niezgrabnie toczyła się jej głowa po jego twardym ramieniu, tam i z powrotem. Na próbę przyciągnięcia jej do siebie nie zezwalało ciężkie ciało ściśnięte konstrukcją z fiszbinów; stawiało zdecydowany opór, a szpilki kapelusza na chwiejnej głowie zbliżały się niebezpiecznie do jego twarzy. Zdecydował się i jednym ruchem zsunął kapelusz w tył, poleciał razem z fryzurą; kobieta sprawiała teraz wrażenie pijanej. Jedwab sukni pachniał kurzem i żarem dnia, czasami tylko delikatnie zalatywało lawendą, która zachowała się w fałdach. Pocałował ją w wargi, które zataczały się przed jego ustami, wreszcie wziął jej ciężką krągła głowę w obie dłonie i przycisnął do siebie. Oddała pocałunek suchymi grubymi wargami, prawie jak zwierzę przyciskające do szyby ryjek.

Dopiero w sieni domu odnalazła znowu i uporządkowała się w świecie. Dała Eschowi kuksańca w pierś i niepewnym krokiem zdobyła swe miejsce za bufetem. Siadła tam i patrzyła na lokal, który leżał przed nią jak mgła. Wreszcie poznała Wrobka przy pierwszym stole i powiedziała.: „Dzień dobry panie Wrobek." Ale nie zauważyła, że Esch wszedł za nią do knajpy, nie spostrzegła również, że należał do ostatnich, którzy ją opuścili. Kiedy pozdrowił ją na pożegnanie, odpowiedziała obojętnie: „Dobranoc, panowie." Niemniej – wychodząc z lokalu miał Esch szczególne i prawie dumne poczucie: że jest kochankiem Mutter Hentjen.

•

Fragment 2 części cyklu powieściowego Hermanna Brocha *Lunatycy – Esch, czyli Anarchia.*

Suhrkamp Verlag, Frankfurt
Do Pana Dyrektora
dra Siegfrieda Unselda

Szanowny Panie Unseld,
Posyłam Panu adaptację „Lunatyków; Esch – czyli Anarchia" i przy tej okazji pragnę Pana powiadomić, że nasza premiera przewidziana jest na 11 lutego 1995 r.
Proszę wybaczyć opóźnienie, w nawale pracy nad inscenizacją kulało przygotowanie niemieckiej wersji, nie chciałem jednak zlecać tego komuś innemu, traktując to zadanie jako znakomitą perspektywę dla dalszych, głębszych refleksji i korekt.
Proszę wybaczyć językowe niezręczności, które z pewnością wkradły się w didaskalia i dopisane przeze mnie dialogi. Obcuję z językiem niemieckim w przeważającej mierze „pasywnie" i brak mi wyczucia mowy potocznej – mimo to chciałem tę pracę wykonać sam.
Przez wzgląd na wymagania powstającej adaptacji musiałem w kilku miejscach („Wyrzucony", „Szwagier", „Wieczorne napięcia", „Kocha się raz", „Próba walki pań", „W pociągu") włączyć fragmenty nowo napisanych dialogów, które jednak, jak sądzę, ściśle respektują sugestie Brocha. Są to sceny z dużym ładunkiem informacji, bez których trudno byłoby prowadzić dalszą narrację.
Scenom: „Sztylety" i „Armia Zbawienia" nadałem bardziej symboliczny i syntetyczny charakter niż w oryginale. Tak wiele refleksji i zdarzeń książki musiałem przemilczeć – próbowałem przełożyć to jakoś na mowę (język) teatru... Chodzi tu głównie o proces irracjonalizacji świata otaczającego bohatera. Myślę, że adaptacja jako całość, próbuje dostępnymi sobie środkami przekazać jak najwięcej tajemnic tego niezwykłego arcydzieła...
W niektórych głęboko lirycznych miejscach („Lorelei", „Bezsenny") pozostawiłem sporo narracyjnego tekstu; nie tylko w celu sugestii i dopowiedzenia, winien on (jako wewnętrzny głos) spełniać rolę partnerską, a nawet (jak w „Bezsennym") dialogowo atakować aktora.
Próby „Lunatyków" są dla mnie fascynującym odkrywaniem nowych ludzkich i teatralnych materii...
Byłbym szczęśliwy, gdyby znalazł Pan czas i przyjechał na naszą premierę.
Z serdecznym pozdrowieniem

Kystyna E

BANK BPH

R.O.R.

Rachunki Oszczędnościowo Rozliczeniowe Banku BPH

to możliwość:

- **bezpiecznego gromadzenia oszczędności,**
- **dokonywania rozliczeń bezgotówkowych,**
- **bezproblemowego regulowania stałych płatności,**
- **uzyskania kredytu bez żadnych formalności**

Uwaga *! Na równych prawach honorowane są dwa rodzaje czeków Banku BPH*

Z czekiem Banku BPH życie łatwiejsze i bezpieczniejsze !

BANK BPH

BANK PRZEMYSŁOWO-HANDLOWY SA

OSORYA & LIPERT GALLERY

ANTYKWARIAT KARTOGRAFICZNY

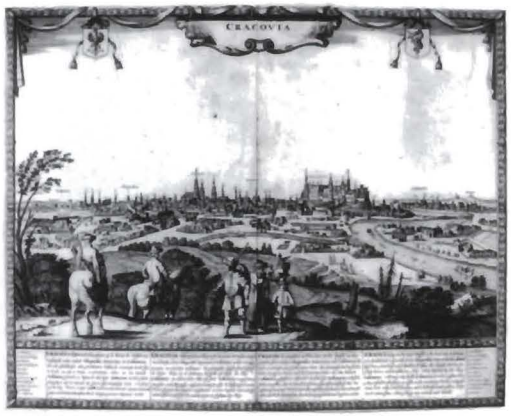

Oferujemy największy w Polsce wybór map
Królestwa Polskiego
Mapy XVI, XVII i XVIII w.
Stare widoki miast polskich.
Ryciny wybitnych polskich grafików:
Norblina, Płońskiego, Pankiewicza i innych

Podziemia Starego Teatru
Kraków, ul. Jagiellońska 5

wt-sob: 12^{00}- 19^{00} tel. 22-85-66 w 123

"OSORYA"

BARBARA - TOMASZ CIEPLIŃSCY

KLUB STAREGO TEATRU

DINNER - DRINK CLUB ART GALLERY
wt - nd 12.00 - 24.00

Mamy zaszczyt zaprosić Państwa do kawiarni „MASKA" otwartej od godz. 9 do ostatniego gościa

Tadeusz Huk
Krzysztof Janarek

Jagiellońska 1
Stary Teatr
tel. 22-85-66 w.131

Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej
ul. Jagiellońska 5
31-010 Kraków
Dyrektor Naczelny i Artystyczny
tel. 21 29 77
Z-ca Dyrektora ds. Administracyjnych
tel. 21 33 53
Sekretariat
tel. 21 29 77, 21 33 53
fax 21 33 53
telex 32 64 83 stary pl
Duża Scena
ul. Jagiellońska 1
kasa biletowa – ul. Jagiellońska 1
tel. 22 40 40 lub centrala tel. 22 85 66, 22 87 63
Scena Kameralna
ul. Starowiślna 21
kasa biletowa – ul. Starowiślna 21
centrala tel. 21 19 95, 21 19 98
Mała Scena
ul. Sławkowska 14
kasa biletowa – ul. Jagiellońska 1
Sala im. Heleny Modrzejewskiej
ul. Jagiellońska 1
kasa biletowa – ul. Jagiellońska 1
Kasy biletowe prowadzą sprzedaż:
– wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota
10^{00} – 13^{00} i 17^{00} – 19^{00} oraz 2 godziny przed spektaklem
– niedziela 17^{00} – 19^{00} oraz 2 godziny przed spektaklem
– przedsprzedaż rozpoczyna się 5 dni przed spektaklem
Organizacja Widowni
ul. Jagiellońska 1
rezerwacja biletów indywidualnych i grupowych
– codziennie z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych 9^{00} – 17^{00}
– w soboty 9^{00} – 14^{00}
tel. 22 40 40 lub centrala tel. 22 85 66, 22 87 63
Muzeum Starego Teatru
ul. Jagiellońska 1
centrala tel. 22 85 66, 22 87 63
czynne na godzinę przed przedstawieniami i w czasie spektaklu

Redakcja programu:
Maria Klotzer
Opracowanie graficzne:
Lech Przybylski
Skład komputerowy:
Piotr Kołodziej

Sezon teatralny 1994/95
realizowany jest przy współpracy:

RZECZPOSPOLITA

OPTIMUS SA

SPOŁECZNY KOMITET ODNOWY ZABYTKÓW KRAKOWA

PZU
ROK ZAŁ. 1803

DEKA
Kraków

Telewizja Polska
„Telegazeta"

DYREKTOR NACZELNY I ARTYSTYCZNY TADEUSZ BRADECKI

Hermann Broch

Lunatycy

Esch, czyli Anarchia

(Die Schlafwandler, Esch oder Die Anarchie)

OBSADA:

August Esch	Jan Frycz
Gertruda Hentjen	Alicja Bienicewicz
Erna Korn	Anna Polony
Ilona	Iwona Budner
Elisabeth	Katarzyna Gniewkowska
Maria, Rużena...	Agnieszka Mandat
Bertrand	Piotr Skiba
Martin Geyring	Andrzej Hudziak
Baltazar Korn	Zbigniew Kosowski
Teltscher	Krzysztof Globisz
Dyrektor Gernerth	Zbigniew Ruciński / Roman Gancarczyk
Lohnberg	Bolesław Brzozowski
Harry Kohler, Lejtnant	Paweł Miśkiewicz
Alfons	Marek Kalita
Nentwig, Redaktor, Portier, Wartownik)	Paweł Kruszelnicki
Dziewczyna z Armii Zbawienia	Maja Ostaszewska (PWST)
Sonia Worobiew	Dominika Bednarczyk (PWST)
Maryna Gajda	Katarzyna Sobczak (PWST)
Elisabeth Wrobek	Adrianna Jerzmanowska (PWST)
Maria Keynen	Anna Nowicka (PWST)
Młody człowiek	Bartosz Dziedzic (PWST)

MUZYKA

Jacek Ostaszewski

ADAPTACJA NA PODSTAWIE NIEMIECKIEGO ORYGINAŁU,
REŻYSERIA I SCENOGRAFIA

Krystian Lupa

Konsultacja tricków: Andrzej Janeczek
Asystent organizacyjny: Zbigniew Kosowski
Asystent reżysera: Grzegorz Jarzyna (PWST)
Asystent scenografa: Piotr Skiba

Przedstawienie zrealizowano dzięki finansowej pomocy BANK BPH
BANK PRZEMYSŁOWO-HANDLOWY SA

!!! W CZASIE PRZEDSTAWIEŃ NIE WOLNO FOTOGRAFOWAĆ, FILMOWAĆ ANI DOKONYWAĆ NAGRAŃ DŹWIĘKOWYCH !!!

Z-ca Dyrektora ds. Administracyjnych Ryszard J. Skrzypczak • Kierownik Muzyczny Mieczysław Mejza

---

inspicjent	*Zbigniew Duma*
sufler	*Iwona Gołębiowska*
kostiumy:	
pracownia krawiecka damska	*Halina Drahus*
pracownia krawiecka męska	*Fryderyk Kałkus*
dekoracje:	
pracownia butaforska	*Barbara Nowak*
pracownia malarska	*Małgorzata Talaga*
pracownia stolarska	*Wiesław Wróbel*
pracownia ślusarska	*Leszek Bubak*
pracownia tapicerska	*Jan Regulski*
charakteryzacja	*Zofia Zielińska*
światło	*Adam Piwowar*
dźwięk	*Mieczysław Guzgan*
główny brygadzista	*Wiesław Małek*
kierownictwo techniczne	*Anna Kammer, Andrzej Smoleń*
koordynacja pracy artystycznej	*Małgorzata Piotrowska-Jarosz, Urszula Więcek*
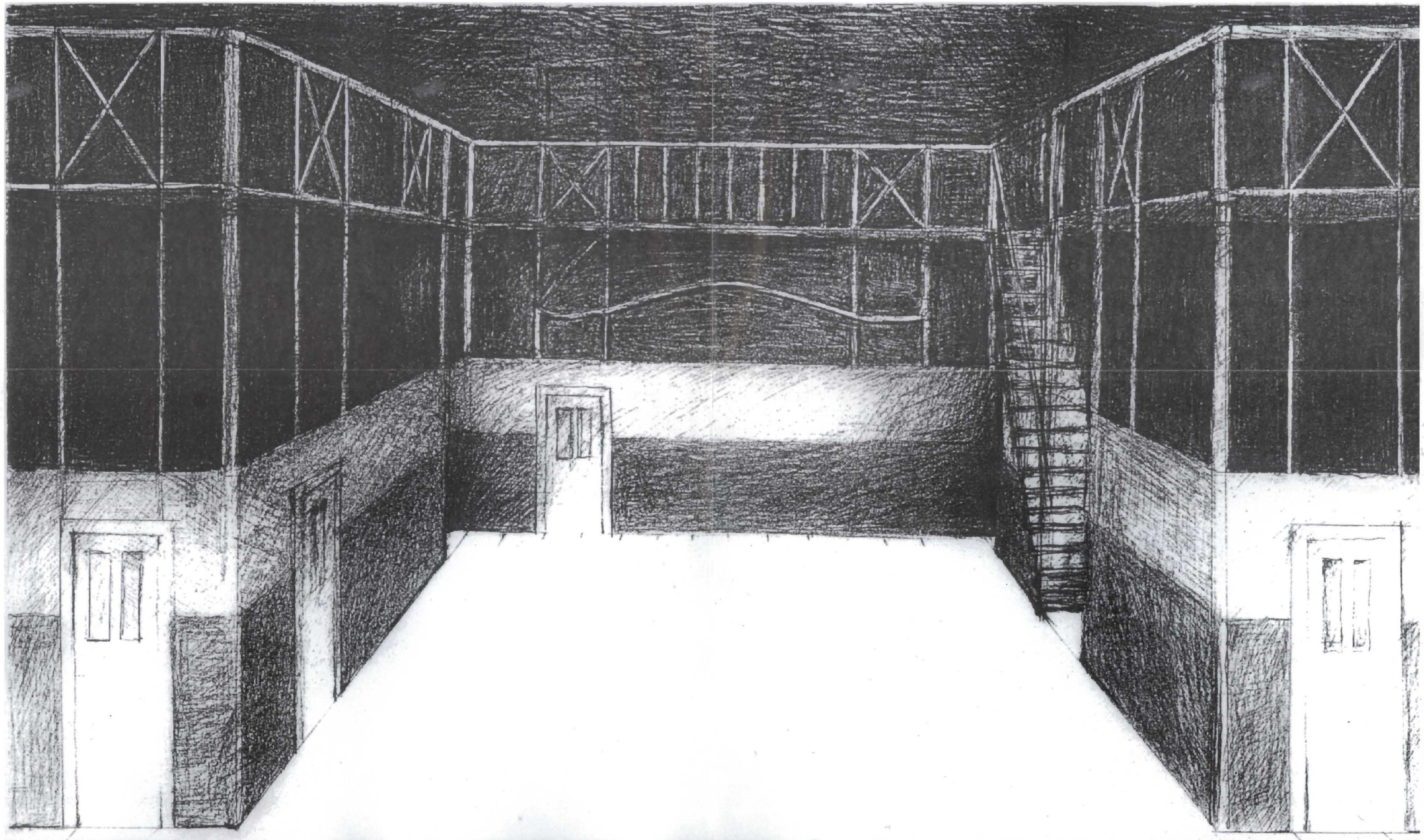
!!! PREMIERA NA SCENIE KAMERALNEJ DNIA 11 LUTEGO 1995 ROKU !!!